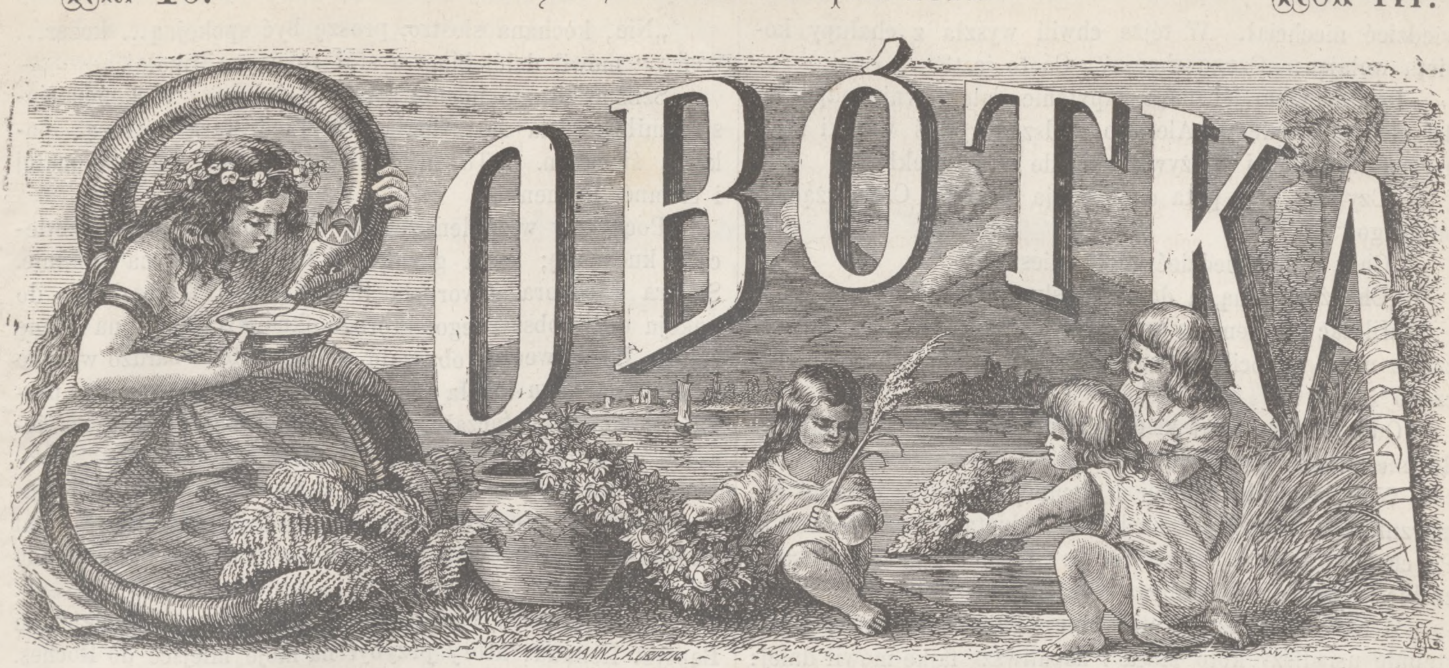
Nr. 46. Poznań, dnia 11. Listopada 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

VI.

Nazajutrz wstałem bardzo rano, ubrałem się i cichutko zeszedłem po schodach. Stary nauczyciel usłyszał jednak, bo przechodząc przez korytarz doszły mię jego pożegnania:

„Odwagi, Janie Baptyście, odwagi!...“

„I zdrowia“, dodała pani Katarzyna.

Podziękowałem za poczciwe ich życzenia i następnie zamknąwszy drzwi starannie, wyszedłem na ulicę.

Wszyscy jeszcze spali; naweł psy nieszczekały. Szedłem z zawiniątkiem uwieszonem na końcu kija. Mijając dom p. Bauquel, w inną stronę zwróciłem głowę. Za wsią droga była bardzo ciężka. Śnieg leżał tak wysoko, że co chwila zapadałem aż po sam brzuch, ale pół mili daléj, w lesie było już lepiéj.

Szedłem z głową opuszczoną, marząc o kolejach życia, o latach dziecinnych, przypominając owe dwa skromne pokoiki na Rybackiéj ulicy, w Saint Nicolas, w których stara matka krzątała się bezustannie. Ojciec wracał wieczorem, zmęczony całodziennem bieganiem. Ciężkie to życie biednych i dobrych ludzi, którym ani praca ani uczciwość, nawet nieda codziennego chleba. Przypomniałem moje pierwsze chwile w szkole p. Bastien, w któréj zawsze miałem pierwsze miejsce. Nauczyciel zwykle powtarzał: Oto najlepszy mój uczeń... ach! żeby to ojciec jego był bogaty... żeby go mógł daléj popchnąć... I stanęły mi następnie przed oczyma miesiące strasznego głodu, spowodowanego najściem wojsk nieprzyjacielskich, i tak rozmyślając z brzaskiem dnia minąłem las ciemny.

Powietrze świeże i światło dzienne dodało mi nowych sił. Szedłem spieszniéj. Wkrótce ukazała się wioska Roches, cała pokryta śniegiem. Dym z kominów wzbijał się w powietrze, a ze wszystkich okien głowy wychylane ciekawie spoglądały na mnie. Uderzyła mnie przedewszystkiem w téj okolicy nędza mieszkańców; wszyscy odziani byli w łachmany, bsz szlafmyc i czapek. Spostrzegłszy to mówiłem do siebie: „Biedny Janie Baptyście, jesteś między dzikiemi!“

Im bardziéj zbliżałem się, tém nędza wydawała mi się większą. Doszedłem w końcu do jedynéj w Roches uliczki. Chêne Feudu w porównaniu Roches było miastem. Można sobie wystawić mój smutek, kiedy pomyślałem, iż być może lata całe zmuszony będę w tém miejscu przeżyć. W chodząc na ulicę spotkałem młodego chłopca, z włosami czerwonemi i roztarganemi idącego boso po śniegu. Spytałem się go o mieszkanie p. Mikołaja Ferré, ale nic mi odpo-

wiedzieć niechciał. W téjże chwili wyszła z chałupy kobieta wołając: „Czego chcesz? Co to jest?“

Powtórzyłem jéj moje zapytanie, ale równie odpowiedzi nie otrzymałem. Ale oto nadszedł jakiś wysoki mężczyzna, w bluzie i zbliżywszy się do mnie rzekł:

„Czy się pan pyta o Mikołaja Ferré? Czego żądasz od niego?“

„Chcę się dowiedzieć gdzie mieszka.“

„Chodź za mną, a dom ci wskażę.“

Milcząc szedłem za tym człowiekiem, kiedy po pewnym czasie nagle zwrócił się ku mnie mówiąc: „Jestem Ferré... czego żądasz?“

Oddałem mu listy księdza Bernarda, poczem weszliśmy do mieszkania dygnitarza wiejskiego.

Weszliśmy do nizkiéj i ciemnéj izdebki z oknami zamarzniętemi. W głębi siedziała kobieta przy kołowrotku. Po chwili p. Mikołaj Ferré rzekł: „List! cóż ja z tym listem zrobię? przecież nie umiem czytać...“

Z tém wszystkiem starannie obejrzał pieczątkę, następnie usiadłszy koło pieca i zapaliwszy fajkę mówił daléj: „List od proboszcza; coby to mogło być? Jeżeli pan czytać umiesz, to przeczytaj sam.“ Poczém złamał pieczątkę, a ja zmuszony byłem przeczytać list, w którym ks. Bernard donosi p. Radcy municypalnemu, że zastąpię w Roches jako nauczyciel siostrę Eleonorę; daléj poleca mu wystaranie się o sanie pod rzeczy siostry Eleonory, która bez straty czasu ma się udać do Chêne Fendu. Zaledwie skończyłem czytanie, kiedy p. Mikołaj Ferré otworzył okno i gwiznął przeraźliwie. „Joanno!“ zawołał, „idź do siostry i powiedz niech w téj chwili tu przyjdzie.“

Następnie, zamykając okno: „A, to pan jesteś nauczycielem“, rzekł, „dobrze, zobaczymy jak to będzie.“

Siedząca w głębi kobieta, spoglądała na mnie podejrzliwie. Za chwilę przyszło dwóch chłopów; wszyscy mi się ze zdziwieniem przypatrywali. Nowo przybyli żądali czegoś się napić; żona p. Ferré im usłużyła, z czego się domyśliłem że pan Radca municypalny był szynkarzem. Wkrótce nadeszła siostra Eleonora, kobieta około lat trzydziestu; twarz miała bladą i duże czarne oczy. „Siostro!“ rzekł p. Ferré, trzymając fajkę w zębach, „przyniósł mi ten pan list z Chêne Fendu. Co tam w nim jest? Proszę przeczytać, sami się musimy porozumieć.“

Siostra na wezwanie przeczytała na głos list ks. Bernarda. Oburzyło mię bardzo to wyraźnie okazane niezaufanie; ale p. Radzca nie domyślał się tego i spoglądając na mnie rzekł: „Ach! pan bardzo biegle czyta;... to dobrze, to dobrze!...“

Siostra Eleonora uszczęśliwiona była ze zmiany i siadłszy przy oknie z największą uwagą razy kilka przeczytała list księdza Bernarda. Dwaj przybyli goście zażądali kart, które pan Radca im poddał i razem zasiadł do gry.

Siostra miłosierdzia skończywszy czytanie, rzekła do mnie śmiejąc się: „Chwała Bogu, pojadę dziś jeszcze według życzenia księdza proboszcza, do Chêne Fendu. Jeżeli życzysz, to zaraz dam ci pomieszkanie.“ W drzwiach obracając się dodała: „Nie zapomnij panie Mikołaju wystarać się o sanie.“

„Nie, kochana siostro, proszę być spokojną... kozer... trefl...“ mówił daléj bijąc o stół ręką, p. Mikołaj.

Szliśmy długo między zaspami śniegu. W końcu siostra miłosierdzia zatrzymała się przed starą chałupą, pokrytą śniegiem. „To tutaj“, rzekła, wchodząc do małéj i ciemnéj kuchenki.

Pochylony wszedłem za nią. Małe okienko słabo oświecało kuchenkę; kilka garnków i talerzy stało na kominie. Siostra Eleonora otworzyła drugie drzwi i weszliśmy do pokoju dosyć obszernego, którego okna wychodziły na ścianę śniegu. Łóżko według obyczaju w okolicy było bardzo wysoko usłane, na niém leżała pierzyna i kołdra, a firanki z perkalu zielonego otaczały go wkoło. Linie i wzory zawieszone na sznurkach, zapowiadały, że to jest szkoła. Przy łóżku stara kobieta robiła pończochę. Była ona niska, tłusta, z żółtą i pooraną zmarszczkami twarzą, z włosami siwemi i rozrzuconemi, co wszystko podobną ją robiło do staréj cyganki.

„Pani Hulot“, rzekła siostra Eleonora, „oto pan Jan Baptyst Renaud, który przybył na moje miejsce do Roches. Będzie on nauczycielem tutejszéj szkółki. Zresztą wszystko nadal pozostanie jak było; zawsze będziesz brała sobie drzewo, które dzieci przynoszą.“

Staruszka wciąż robiąc pończochę, rzuciła dwa ciekawe spojrzenia.

„Nie prawdaż, pani Hulot, to dla ciebie wszystko jedno.“

„Tak“, odpowiedziała, „bylem tylko drzewo miała, to mi wszystko jedno.“

„A teraz pójdźmy na górę“, rzekła siostra Eleonora, dając znak, żebym szedł za nią.

Na górze pokój dosyć duży, wybielany, z małemi okienkami, był dla mnie przeznaczony. Z okien widać było dolinę, laski dębowe i sosnowe, słowém widok rozściełał się wspaniały.

Siostra Eleonora krzątała się po pokoju, chcąc jak najprędzéj małe swoje zawiniątko upakować. W kwadrans wszystko było ukończone. „Teraz“, mówiła uśmiechając się do mnie, jesteś u siebie. Oto lista uczni; jest ich czterdziestu dwóch. Zwyczajem jest w Roches, że nauczyciel żywi się u rodziców dzieci. Każde z kolei przyjmuje go u siebie. Patrz, teraz koléj na jedenastego, na p. Jakóba de Laroches, gdzie dziś będziesz jadł obiad i kolacyę. Jutro będzie dwunasty, t. j. p. Fix.“

Osłupiałem. Czyż podobna, ażeby w ten sposób traktowano nauczycieli? Teraz dopiero zacząłem pojmować całą okropność mego położenia. Na chwilę przyszła mi myśl rzucić nauczycielstwo i pójść do wojska, ale zastanowiwszy się, że jeżelibym zaraz odszedł, zarzut chęci uwiedzenia bogatéj dziewczyny, prześladowałby mię wszędzie, kiedy za dwa lub trzy miesiące mer zmuszony będzie dać mi świadectwo dobrego prowadzenia. Uwagi te uspokoiły mię nieco.

„Nie masz powodu smucić się“, mówiła z uśmiechem łagodnym siostra Eleonora, „ludzie w Roches nie są gorsi od innych; przeciwnie są oni nawet więcéj religijni. Każdy uczeń przyniesie ci ośm sous na miesiąc. Jest ich czterdziestu dwóch, a więc będziesz miał, nie licząc wyżywienia, mieszkania, opału i małych zysków przy sprzedaży papieru,

piór, katechizmów, które nauczyciel dostarcza, siedmnaście franków na miesiąc. Opranie prawie nic nie będzie cię kosztowało, pani Hulot, zrobi to. Co do dzieci są one tak jak wszędzie trochę dzikie, ale przy twojéj metodzie, o któréj mi mówiła siostra Adela, jestem pewna że z nich będziesz miał dobrych uczni i że ksiądz proboszcz będzie zadowolniony.“

Powiedziawszy to zrobiła ukłon grzeczny, wzięła przy pomocy pani Hulot zawiniątko i zeszła na dół.

(C. d. n.)

Wspomnienie z salonów Warszawskich

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Na owym wieczorku u Dra Dworzaczka, przeczytał świeżo przez siebie przetłomaczone: Gdyby orłem być! Maurycego Gosławskiego. Przeniemczyłam mu to oczywiście o ile umiałam, co przecież zrozumiał i rzecz udała się wcale. Korzeniowski niemiecki przekład bardzo pochwalił; a Dr. Dworzaczek kazał go sobie raz wtóry przeczytać. Otóż te zwrotki:

Könnt' ein Aar ich sein!
Könnt' ein Falk' ich sein!
Flugeskühn empor mich hebend,
Überm Vaterlande schwebend:
Könnt ein Aar ich sein!

Könnt ein Stern ich sein —
Himmelskind und rein,
Wie in maiesnächt'gem Dunkeln,
Über der Geliebten funkeln,
Bis zum Frührsthschein!

Oder nebelumhüllt,
Liebestrauer erfüllt,
Wie in Sees krystallnen Fluthen —
Mich in ihren Thränengluthen
Spiegeln keusch und mild!

O mein Vaterland,
Süsses Heimathland!
Zeig Dich mir, Du Land der Leiden,
Land auch meiner Jugendfreuden,
Theures Polenland!

Zeig Dich mir! — Doch nein:
's darf ein Traum nur sein! —
Kreisen Adler — schwinden Sterne —
Freiheit todt — die Liebste ferne —
Ringsum Thränenpein!

Weh uns, Weh! o Herz,
Fühl's und brich vor Schmerz!
Vaterlands und Liebverwaiste,
Theure, weine und im Geiste
Nimm mich an Dein Herz!

Dorobił nadto jednę jeszcze zwrotkę — ale... téj już nie domieszczam.

Wszczęła się następnie dyskusya religijna — nie pomnę co ją nastręczyło. Dr. Chałubiński i Szateński gorliwie i z prawdziwém przejęciem się podnosili katolicyzm w obec protestanckiego teologa. Mianowicie téż Szateński z niezrównaną wymową, głęboką nauką, przekonaniem i miłością. Przyszły pastor wystąpił ze zwykłemi zarzutami katolicyzmowi czynionemi, które jednakże Szateński zbił i pokonał wszystkie — że młody teolog aż zamilkł.

„Ein kleiner Mann“, wymówił, siadając przy mnie, bo pan Szateński nizkiego jest wzrostu, „aber ein grosser Dialectiker! Ein solcher Verstand ist aller Ehren werth.

Jaki zacięty i wraży kościołowi naszemu protestant, byłby zapewne dyskusyą zażarcie prowadził daléj — Gustaw Franke jednakże nie należał do takich; a raczéj zaliczał się do stronnictwa, które w protestanckim kościele skłania się do katolicyzmu. Sam wiele mówił o tém i sprowadzał sobie książki, traktujące w tym duchu — ciekawe bardzo.

Po dyskusyi teologicznéj, August zadeklamował... podobno Improwizacyą Konrada. Potém mówił nam Korzeniowski głosem nieco przyciszonym a harmonijnym dziwnie, jakiś ustęp prześliczny z poezyi swoich; gdy Franke zasiadł w kąciku i poszeptywał sobie przez zęby któryś pochwycony wyraz polski.

Rozeszliśmy się po północy. Po wykwintném przyjęciu, pokrzepieni na umyśle i duchu.

Pan Antoni Szateński jest rodem z Poznańskiego. Pisał Sur la charité, ale tego nie ogłosił drukiem. Podobno, że dawniéj przetłomaczył i wydrukował jakieś techniczne dzieło.

Franke, słysząc o życiu Dra Dworzaczaka, widząc go i słysząc, zwykł był powtarzać: „Solch einen Mann giebt es in ganz Deutschland nicht!“

Młody a chętny kandydat byłby się niezawodnie języka naszego nauczył — i z pożytkiem może. Ale nadeszły dni marcowe — i policya warszawska kazała mu, jako cudzoziemcowi, jako Niemcowi, wyjechać bez zwłoki. Pożegnał nas z żalem wielkim, bo aż rozpłakał się nawet.

Inny jego kolega, także kandydat teologii, który był nauczycielem w domach obywatelskich na wsi, niejaki Levèque, rodem z Berlina, nauczył się gruntownie języka polskiego; a twierdził wymownie: że język polski jest po greckim — z którym go porównywał — najwięcéj filozoficznym, i unosił się wielce nad pięknością jego.

* *
*

Niezrównanéj przyjemności a zarazem i pouczające bywały pogadanki nasze w rodzinném kółku Dworzaczków.

Wśród gawęd o różnych, przeróżnych przedmiotach, mówiliśmy często i o duchach... o ukazywaniu się duchów.

Przedmiot ten pociąga mnie szczególniéj i Dr. Dworzaczek lubił także w téj materyi rozmowę. A mówił, rozumiejąc głęboko. Niewypowiedzianie zajmuje, słyszeć człowieka rozumu i nauki, mówiącego o téj kwestyi. To téż rozmowa taka nieraz pociągnęła długo.

Obywatel z Siedleckiego, pan S., rozumny, bynajmniéj nie marzyciel, raczéj realista, opowiadał nam:

Gdym pracował w banku, mieszkałem z przyjacielem, młodym Litwinem, przy ulicy Senatorskiéj. Mieliśmy duży pokój, z jedném środkowém, szerokiem oknem, wprost drzwi od przedpokoju. Łóżko przyjaciela mojego stało pod ścianą z jednéj strony, a moje po drugiéj. Jednéj nocy budzę się nagle, a zbudziło mnie światło i porwałem się, sądząc, że to już rano: księżyc w okno całym świecił blaskiem, a strumień tegoż odbijał się na drzwiach przeciwległych. Natomiast łóżka nasze pozostawały w zmroku... W tém otworzyły się drzwi od przedpokoju... mniemałem, że służący wchodzi, i zobaczyłem szczupłą postać wiejskiego dziewczątka, ale nie w stroju naszych okolic. Pomknęła zwolna ku przeciwnéj stronie... i zniknęła w półcieniu. W téjże chwili mój przyjaciel zrywa się, klęka i pacierze mówi. Patrzę zdumiony na to wszystko — a wreszcie zawołałem po imieniu.

„Czego chcesz?“ pyta on mnie, „pocóż wołasz?“

„Cóż ciebie zbudziło?“

„Sen...“

„I modliłeś się?“

„Tak...“

W kilku słowach opowiedziałem mu widzenie moje.

„A!“ zawołał, „to jest szczególne! szczególne!... W domu rodziców moich jest sierotka wiejska, którą siostry moje wychowują, i którą kochamy wszyscy... Śniłem, że umarła.“

Musiałem mu opisać widzianą dziewczynkę... Rozmawialiśmy tylko o tém — i już nie usnęliśmy więcéj.

W tydzień potém odebrał przyjaciel mój list z domu, w którym mu z żalem donosiły siostry, że ulubiona sierotka umarła... a właśnie owéj nocy.

Często przeczytaliśmy coś zajmującego głośno. A lubiłam posłuchać sądu Dworzaczka — zwłaszcza téż o poetyckich utworach, ze stanowiska niezwykłego i wyższego zupełnie.

Inne znowu razy mówiliśmy o muzyce — o muzyce polskiéj, jak jest wielostronną — ile to niewyczerpanych zawiera skarbów, jakich może żaden inny nie posiada naród. Zwróciliśmy uwagę i na pieśni kościelne. Dworzaczek zna niemal wszystkie po naszych śpiewane kościołach. Unosił się nad niemi — i sam nucić je począł. Było to zaprawdę rozrzewniającém.

Dla niego żaden przedmiot nie jest zbyt błahym do rozmowy — bo o wszystkiem rozmawia chętnie i z życiem. A wszystko o czém mówi, nabiera znaczenia i wdzięku.

(Dokończ. nast.)

Rozdział z tomu piątego

HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864

przez

Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

(Dokończenie.)

Zanim się wzięto do napisania innego projektu, należało się przódy zapewnić, czy adres przyjętym zostanie. Gorczaków jak widzieliśmy po strzałach Zabołockiego nawet mówić nie dał sobie o adresie i wyraźnie powiedział Zamojskiemu, że żadnego pisma do cesarza nie przyjmie. Po zrobionem ustępstwie Delegacyi, postanowiono jeszcze raz spróbować, ażali się nieda nakłonić przerażonego namiestnika do odmienienia pierwotnéj decyzyi. Po dwunastéj więc godzinie w nocy, za zgodą pana Andrzeja, udała się do zamku druga Deputacya od Komitetu Rólniczego złożona z A. Ostrowskiego, Ludwika Górskiego i Henryka Potockiego. Gorczaków jeszcze czuwał — pomimo więc północy nieodmówił posłuchania Deputacyi. Przemówienia były znowu bardzo żywe i gorące. Deputowani przekonywali księcia, iż tylko pewność, że adres przyjętym zostanie, oraz nadzieja, że skargi narodu wysłuchane, a prawa słusznie mu należące nadane będą, zdolna jest kraj uspokoić; prosili więc, ażeby im dał tę pewność, ażeby nieprzeszkadzał porozumieniu się z tronem, ale stając się jego pośrednikiem, przyczynił się do wyrwania kraju ze stanu opłakanego, w jaki go w prowadzono po roku 1831. Trudno było nieprzyznać trafności czynionych przedstawień popartych krwią i wypadkami, jakie głęboko wzruszały. Miękł w obec nich zwolna upór namiestnika, lecz obawa Petersburga w końcu w nim przemogła i Gorczaków nie dał stanowczego przyrzeczenia co do przyjęcia adresu. Kraj był w tak wielkiéj niewoli utrzymymany, iż nie dosyć było ofiar, śmierci i tyle, jak je dobrze nazwano „bolesnych negocyacyi“ ażeby skłonić namiestnika cara do przyjęcia aktu, którego spisanie i podanie w innych krajach, na żadne nie napotyka trudności.

Wahanie się namiestnika zostawiało już tylko cień nadziei, który, gdyby się pokazał złudnym, postanowiono wysłać osobną Deputacyą do Petersburga i adres wręczyć samemu carowi — dla tego wzięto się do jego napisania.

U Tomasza Potockiego było dnia tego nieustające zebranie obywateli ziemskich, na którem obradowano o sprawach publicznych. Pomiędzy innemi uradzono na wypadek rozwiązania Towarzystwa Rólniczego, użyć jego organizacyi do kierowania sprawą narodową, z czego późniéj pod koniec roku, wyrosła myśl „Dyrekcyi kraju;“ zastanawiano się nad projektem uniwersytetu polskiego. o założenie którego po-

przednio już starania czyniła ucząca się młodzież i znaczniejsi z mieszczan — a wreszcie tu, jak i na podobném zebraniu u Andrzeja Potockiego rozbierano różne projekta adresu, po odrzuceniu których, wzięto pod bliższy rozbiór projekt napisany przez członka Komitetu Rólniczego pana Edmunda Stawiskiego, znanego zaszczytnie w polskiém piśmiennictwie. Po uczynieniu kilku poprawek już po północy projekt Stawiskiego przyjęto i zaraz przetłumaczono na francuski, a nad rankiem, zaniesiono go do sędziwego Fijałkowskiego, ażeby się na nim pierwszy, jako arcybiskup warszawski, w imieniu duchowieństwa katolickiego podpisał. Prócz Fijałkowskiego, oryginał adresu podpisali: pastor Leopold Otto w imieniu duchowieństwa ewanielickiego; nadrabin Mejsels w imieniu duchowieństwa starozakonnego, następnie Andrzej Zamojski i 123 innych obywateli.

Przed południem 28 Lutego udała się do zamku adresowa Deputacya. Przewodniczył jéj arcybiskup Fijałkowski, składali zaś ją: Andrzej Zamojski, Leopold Kronenberg, Ksawery Szlenker i Władysław Małachowski. Gorczaków zakłopotany odebrał pismo z rąk arcybiskupa i długo namyślając się, trzymał go w ręku, aż wreszcie rzekł: „Adresu przyjąć nie powinienem, ale zobaczymy!....“ i podniósłszy rękę w górę, zaczął go czytać. Przeczytał go raz ale wzruszenie snać niedozwoliło mu go zrozumieć, bo odczytał go po raz drugi, ustęp zaś, w którym jest mowa o niezaufaniu do rządu, biorąc do siebie, głośno powtórzył, poczém powiedział: „Adresu przyjąć niepowinienem, ale go przyjmuję, biorąc przez to na siebie wielką odpowiedzialność — i zapewniam panów, że go jeszcze dzisiaj do Petersburga odeślę i poprę ile możności.“

Napisanie adresu przedstawiało nie małe trudności. Sprzeciwiała się mu zasada narodowa, nieuznająca władzy moskiewskiéj za rząd własny, regularny — sprzeciwiało się mu uprzedzenie obcego rządu, odpychające z pogardą upominanie się podbitéj ludności o prawa i sprawiedliwość — sprzeciwiał się mu wreszcie wstręt carów do działania noszącego na sobie cechy postępowania wymuszonego naciskiem wypadków. A jednak należało podać adres. Że konieczność jego poczuwali wszyscy, widzieliśmy już z tego, że jednocześnie przyjechali do Warszawy z projektem adresu: Wielopolski wyobrażający konserwatywne, najbardziéj do rządu zbliżone żywioły krajowe i młodzież uniwersytecka, reprezentująca najburzliwsze, najbliżéj rewolucyi stojące umysły w kraju. Po wypadkach 27 Lutego, które się nie zamieniły na powstanie, nikt nie mógł zaprzeczyć, że adres był jedynym sposobem wydobycia politycznych korzyści z przelanéj krwi. Korzyści te jednak były bardzo wątpliwe z powodu warunków, jakie już w saméj formie adresu należało mieć na względzie, a o które upominała się niezmiernie czuła godność narodu i również wrażliwa pycha rządu carskiego. Adres 27 Lutego uwzględnił te warunki, nie obraził bowiem ani godności polskiéj, ani pychy moskiewskiéj. Gdyby adres w żądaniu instytucyi wolnych i narodowych, obrał za punkt wyjścia stan prawny, istotnie Polaków obawiązujący, to jest ten, który tak haniebnie zdeptany został przez rozbiory dokonane przez Prusy, Austryę i Rosyę, musiałby prosić o niepodległość do udzielenia któréj żaden z najezdników skłonnym nie jest i którą dla tego mogą Polacy uzyskać tylko przez wojnę i zwalczenie obcego panowania. Na tém stanowisku można redagować ultimatum ale nie adres. Ultimatum zaś narodu słabego, niezorganizowanego i nieprzygotowanego do wojny odrzuconemby zostało przez rząd czujący się w przemocy, a obrażony w pysze zwycięzcy i w zasadzie swego panowania. Gdyby zaś adres oparł się na stanie prawnym, jaki mocarstwo europejskie dla Polski w roku 1815 nakreśliły, który krzywdził interesa i prawa polskie, lecz dawał pewne rękojmie dla narodowości; na stanie, który nie był nigdy przez Polaków za obowiązujący uznany, a który Moskwa stopniowo gwałcąc, wówczas jeszcze zupełnie potargać nieśmiała; gdyby jak chciał Wielopolski, wyrażono w nim żal z powodu powstania 1831 r. i z powodu wszystkich usiłowań wydobycia się na niepodległość, a które tylko coraz większy upadek sprowadzały — odrzuconyby został przez



Minister dla Galicyi Gricholski.

drugą stronę, to jest przez naród, obraziłby bowiem uczucie, godność, prawa i zasadniczą podstawę polityki polskiéj, jaką jest jedność i całość naszego kraju. Adres 27 Lutego obierając za punkt wyjścia wypadki dopiero co zaszłe, ominął z wielką zręcznością te szkopuły a wypadki same podniósł, solidaryzując z nimi cały naród, ogłaszając je za rzetelny objaw uczucia jakie wszystkich Polaków przejmowało.

Naród, powiada adres, przez wiele wieków rządzony wolnemi instytucyami, nie posiada możności rozwijania się, pozbawiono go bowiem nawet organu legalnego przez któryby mógł o swoich potrzebach mówić. W takiem położeniu został mu tylko jeden sposób podniesienia głosu przez ofiary i dla tego ich krwią teraz się odzywa. Takie określenie początku ruchu wyróżnia się godnością od aktu jaki był wydany przed trzydziestu laty przez ludzi co po krwi listopadowéj pierwsi odezwali się w imieniu narodu — jest zupełnie prawdziwem, a przytem i roztropnem. Następnie adres ustala tyle razy przez rządy najezdnicze zaprzeczoną odrębność narodową Polaków, któréj czas i żadne wypadki osłabić niezdołały, a któréj nieuznawanie i obrażenie zaniepokoiło wszystkie umysły, zerwało zaufanie do rządu i dopóty będzie źródłem zawichrzeń, dopóki system gwałtów i środków represyjnych nie ustanie. Roztropność, która nakazywała pominąć podstawę prawną wymagań polskich, zalecała umiarkowie w oskarzeniu rządu. Adres nie określa opłakanego stanu kraju, nie rozważa krzywdy narodu i nie ocenia panowania obcych, lecz z wszelką wstrzemięźliwością słowa wskazuje na niewątpliwą przyczynę wstrząśnienia, która leży w odmówieniu praw narodowych i we władaniu gwałtami. Po okazaniu przyczyny należało określić sposoby zaradzenia złemu, udać się w szczegółowe wskazanie reform społecznych i praw politycznych, które kraj uznaje za konieczne. Na określeniu takiem zyskałaby donioslość i dobitność adresu i zarysowanąby została linia, do któréj posunąwszy rząd swoje koncesye, mógłby posiąść pewność, że kraj się uspokoi, wypisanyby został program polityczny ruchu narodowego, a przez to położona granica agitacyi. Adres wspomniał o potrzebie reform zgodnych z tradycyą, historyą i duchem narodowym w kościele, w prawodawstwie i w wychowaniu publicznem, nie wdając się bynajmniéj w ich bliższe oznaczenie. Rząd więc w razie postanowienia, ażeby polepszyć dolę kraju, miał sobie zostawionem wynalezienie środków polepszenia, czyli oznaczenia rodzaju i liczby koncesyi, oraz ocenienia wpływu jaki mieć mogą na uspokojenie umysłów. Wielki ten brak w adresie sprowadził jeszcze inną niedogodność, to jest działanie narodu bez wyraźnie postawionego celu, bez programatu, które się więc rozwinąć musiało w niekończącą się agitacyą, rozpłynąć w kierunku różnych chęci, różnych planów i doktryn, jakie mu przynosili ludzie śmielsi, nie pytając się o upoważnienie do działania, lecz znajdujący mandat w większym lub w mniejszym zakresie swojego usiłowania, zależnem zupełnie od ich zręczności. Bliższe określenie żądanych reform ułatwiłoby z jednéj strony rządowi zrozumienie jego obowiązku, a z drugiéj położyłoby tamę wybrykom fantazyi, do któréj zawsze nastręcza sposobność agitacya nieokreślona, potrącająca uczucia aż do ostatnich horyzontów myśli ludzkiéj w działanie nie ujęte, a burzliwie jak fale oceanu rozpryskujące siłę publiczną w czczą pianę naprónych usiłowań. Niedostateczność pod tym względem adresu tłumaczy niewiara w jego skuteczność. Krańcowe odłamy polskiego społeczeństwa, spodziewały się, że adres przyjętym będzie przychylnie — i dla tego Wielopolski projektował wyraźne wypowiedzenie czego chce naród, a młodzież uniwersytecka, wprawdzie na innéj zasadzie, ale także chciała rozspecyalizowania żądań. Większość jednak która zawsze bywa pośrodku, a w téj liczbie i redaktorowie adresu nie wierzyli w koncesyjność rządu i w jego chęci reform politycznych, określenie ich więc uważali za zbyteczne. Drugim powodem ogólnikowego charakteru adresu było rozważenie natury despotycznego rządu, który nie znosi żadnych rad i wskazówek od poddanych, a z którego wypadło, że aby cośkolwiek otrzymać, należy powiedzieć, że wszystkiego potrzeba, ale o nie szczegółowie nie prosić. Słuszność podobnego rozumowania nie może być zaprzeczoną. Polacy nie mogli spodziewać się po carze moskiewskim reorganizacyi narodowéj; nie mogli po rządach Mikołaja i pięcioletniem bezowocném panowaniu jego syna rozumnie przypuścić, ażeby mężowie stanu petersburscy odmienili zapatrywanie się na położenie Polski i swoją względem niéj polityki; — polityka ta zaś była nieubłagana, pogardzająca i pomiatająca interesami polskiemi. Robić i rządzić na przekor potrzebom narodu polskiego było i jest rozumem stanu nad Newą i nad Spreą. Więc nie formułując zarzutu adresowi za to, że nie chciał narazić na skompromitowanie i silniejsze oburzenie polskiego uczucia, przyznać przecież musimy, że adres wprowadził ruch na bezbrzeżne i niepewne przestrzenie, po których się błąkał bez planu drogami nie wiodącemi do bezpiecznego portu. Był on objawem uczucia narodu, ale nie był programatem politycznym.

NAD GOPŁEM.

PANI TEODOZYI K. NA PAMIĄTKĘ.

Czemu szumicie smutnie, o goplańskie fale,
Wszakże promienne strugi zawisły nad wami,
Wszakże słońce się kąpie w waszych wód kryształe,
Zdobiąc was cudownemi tęczy kolorami!

Falo! ale kto spojrzał w twoje czarne tonie,
Kto się sercem w męczeństwa twego dzieje wczytał,
Zrozumie boleść wielką, która na dnie płonie,
I o przyczynę smutku nie będzie cię pytał!

Stoję nad twoim brzegiem kornie pochylona
I patrzę z rozrzewnieniem w twe ciemne odmęty,
Chrzcielnico narodowa, bądź błogosławiona;
Nad tobą zabłysł pierwszy zbawienia krzyż święty!
Tyś pierwsza pochłonęła pogaństwa bożyszcze,
I w poświęconych gajach zalała ogniska,
Co purpurowym blaskiem oświecały Żnicze...
Ołtarzy Swiatowida pochowałaś zgliszcza,
I świątyń bałwochwalczych zniszczyła zwaliska,
Strojąc Polskę w równianki i szaty dziewicze!
Pogańskich ofiar wkoło zagasły płomienia,
I błysnął na twych barkach złoty krzyż zbawienia!

Polsko! tyżeś go niosła z pokorą i męztwem,
Idąc tak jako Chrystus na stromą Golgotę,
Śród walk i trwogi mężna, nie dumna zwycięztwem,
Czcząc dawne obyczaje i praojców cnotę.
Na szczycie twéj wielkości pokorna przed Bogiem,
U stóp ołtarzy pańskich składałaś sztandary,
Serdeczna dla sąsiadów, ten tylko był wrogiem,
Kto nie czcił twych świętości: swobody i wiary!

Dzisiaj... o biedna Polsko moja, tyś zdeptana,
Ołtarze twéj wielkości okrutnie zburzone,
I ległaś jako lilia gromami złamana,
Chyląc ku ziemi smutne skronie poranione,
Zielone twe równiny pokrył kir żałoby,
A kędy okiem rzucisz same czarne groby!

I smutne brzegi Gopła, wierzba pochylona
Sunie pożółkłe listki w ciemno sine fale,
I patrzy się w odmęty rzewnie zamyślona,
Jakieś tajemne wodom powierzając żale,
To znów w ziemię pokutne zapuszczając włosy,
Jakoby chciała płaczem rozbroić niebiosy!

I puste brzegi Gopła — bo Lechickie syny,
Na zawsze od swéj matki łona oderwane,
Krwią i łzami dalekie skrapiają krainy,
A dłonie swe kajdanem niewoli spętane,
Daremnie ku ojczystéj wyciągają ziemi,
Goniąc ją tęsknem sercem i oczy łzawemi!

I ciche brzegi Gopła — przebrzmiał śpiew swobody
Co rwał się ku niebiosom hymny wspaniałemi,
Tylko gromady kruków okrążają wody,
Powietrze napełniając krzyki złowrogiemi;
I krzyż śród ruin czarne roztacza ramiona,
Jakby zbolałe dzieci chciał tulić do łona!

A tam w oddali białe rozsiadły się chaty,
To stare Piastów gniazdo — Kruświckie zagrody,
Gdzie Bóg aniołów swoich przysyłał przed laty
Do zacnéj kołodzieja wieśniaka zagrody!...
Panie czyś Ty nam zabrał już domowe bogi,
Co strzegły błogosławiąc nasze niskie progi!

Boże! czyliż nie ześlesz nam anioła stróża,
Coby rozproszył mieczem nieprzyjaciół roje,
I bronił przed najazdem poświęcone wzgórza,
Gdzie błyszczą Twoje krzyże i przybytki Twoje,
Czyliż nie zajaśnieje już dla nas nadzieja,
Budząc pośród narodu Piasta kołodzieja!

. . . .

Gopło! kiedyż się twoje zazielenią brzegi,
I zabłysną nad niemi wiosny wonne kwiaty,
Kiedyż nad niemi staną Lechickie szeregi,
Strojne w dębowe wianki i śnieżyste szaty,
Kiedyż w bratnim uścisku połączą swe ręce,
I rzucą w twoje fale promieniste wieńce?

Gopło! o kiedyż runą już Żnicze obczyzny,
I wzleci nad zgliszczami stary orzeł biały,
Kiedyż ponad ołtarzem nieszczęsnéj ojczyzny
Błyśnie najświętszy płomień wolności wspaniałéj,
Gopło, o kiedyż twoje przezroczyste wody
Skropią Lechicką dziatwę świętym chrztem swobody!

Jaronty w Październiku 1871.

Uriela.

POŻAR CHICAGO.

Z odległego zachodu północnéj Ameryki donosi nam telegraf o katastrofie zrządzonéj przez pożar, który co do swéj wielkości za naszych czasów nie ma równego sobie i który jak się zdaje jeszcze jest straszniejszy niżeli pożary w dniach grozy 1871 w Paryżu. Chicago (Czykago) jedno z najhandlowniejszych miast Zjednoczonych Stanów, a może największy rynek zbożowy na całéj ziemi; stało się dnia 9 i 10 Października pastwą płomieni i blisko $^2/_3$ miasta leży w gruzach. Miasto to z rzadką szybkością się rozwinęło i rozkwitło, co nawet w Ameryce, gdzie takie przykłady nie rzadkie do tego stopnia zadziwiało wszystkich, iż rozkwit ten stał się przysłowionym. Dla naszych europejskich pojęć zdaje się prawie bajecznem, żeby tam, gdzie obecnie jest punkt środkowy sieci kanałów i żelaznych kolei, elegancka metropolia handlu północno-zachodniéj Ameryki, przed czterdziestu jeszcze laty miała być puszczą nieprzebytą, stepami niezmierzonemi, a jeziora i błota znanemi tylko dzikim Indyanom, polującym w owych stronach na niedźwiedzie. Jak niezwykły wzrost Chicago uderza, tak i niezwykłe nieszczęście, które to miasto spotkało uderzać musi. Związek między jednem a drugiem, możeby się przedstawił jasno przy bliższém zastanowieniu nad historyą miasta.

W Ameryce wszystko inaczéj się rozwija jak w staréj Europie. Kiedy w ostatniéj kultura i cywilizacya powolnie rozwijają, kroczą niejako; tam w Ameryce wszystko idzie skokiem, tak się tam niezwiązane niczém i nie objaśnione sprzeczności objawiają. Przykładem tego było miasto Chicago, gdzie w największych częściach miasta, obok marmurowego pałacu milionera, znalazła się drewniana szopa.

Stan Illinois, którego środek administracyjny wprawdzie

jest miasto Springfield, lecz którego najznaczniejszém miastem jest Chicago, liczy obecnie 2,527,684 mieszkańców. W roku 1812 w tym stanie tylko żyło 12,000 mieszkańców, a w roku 1818, kiedy ziemia stała się stanem osobnym, 50,000. Podobnie szybki wzrost pokazują także stósunki ludności w drugich północno-zachodnich Stanach: Chio, Wisconsiu, Jowa, Jadiana, Minnesota. One zawdzięczają ten wzrost swemu nadzwyczaj szczęśliwemu geograficznemu położeniu. Prawie w środkn stałego lądu północnéj Ameryki rozciąga się 3000 ang. mil długi łańcuch jezior i rzek, które zachód z Atlantyckim oceanem łączą za pośrednictwem potężnéj rzeki Lorenzo (św. Wawrzyńca). Natura także jeszcze o to się postarała, że te wielkie trakty wodne łatwo za pomocą kanału z Missisippi połączone być mogły, gdyż tylko mały przedział wodny między temi wodami się wznosi. Oprócz tego odznaczają się owe okolice żyznością, niewyczerpniętym bogactwem kamiennych węgli, budulca i metali, tak że razem i rólnika i przemysłowca robią. Naturalną więc tylko było rzeczą, że tu zbierała się wielka masa najpilniejszych ludzi wszystkich stanów i że także z Europy nie mała liczba przybyła. Ci ludzie nie zlękli się walki z dziką przyrodą by sobie otworzyć niezawisłą i swobodną ojczyznę. Tym sposobem okolice pięciu wielkich jezior (Superior, Michigan, Huron, Erie i Ontario) zaludnlły się i stały się ogniskiem handlu i przemysłu nowo założonych Stanów; a środkiem tego ogniska, na południowym końcu jeziora na Michigan, stało się miasto Chicago.

W r. 1832 miejsce to jeszcze było pokryte lasem i stepem. W r. 1840 Chicago było miastem z drzewa zbudowanem, i liczyło 4,470 mieszkańców. W r. 1850 było 18,269 mieszkańców, r. 1860 109,000, a r. 1870 298,983; a zatém urosło w przeciągu nie spełna 40 lat do czwartego wielkiego miasta Zjednocz. Stanów. Z ogólnéj liczby mieszkańców 80,000 jest Niemców. Szczególnie szczęśliwe położenie Chicago łączy to miasto wszelkiemi możliwemi drogami lądowemi i wodnemi z wszystkiemi portami północnéj Ameryki. Tu się zbiega 13 wielkich linii żelaznych kolei, po których każdodziennie 250 pociągów przychodzi i odjeżdża; handel jego wynosi 400,000 beczek. Położenie miasta z obydwóch stron nie szparko bieżącéj rzeki Chicago, przez którą liczne mosty prowadzą, oraz nad brzegiem wielkiego jeziora jest wabiącem i korzystnem zarazem. Chicago było zbudowane w równinie na 500 stóp wysokiéj, która tworzy przedział wodny między rzekami Lorenzo i Missisippi, i można mieć wyobrażenie o obszarze jaki ono zajmuje, jeśli sobie przedstawimy, że część spalonego miasta wynosi 9 ang. mil kwadratowych. Wartość gruntu także tu urosła do bajecznych rozmiarów. W roku 1849 wynosiła ona tylko około 7 milionów, r. 1850 10 mil., a 1857 przeszło 30 milionów dolarów i odpowiednio temu podniosła się cena mieszkań.

Najznakomitszymi budowlami były: giełda, szpital marynarki, akademia i ratusz; oprócz tego jeszcze było: 17 banków, 20 drukurń, 14 kościołów metodystów, 10 katolickich, około 60 presbyteryańskich i innych sekt. Jeśli się mieszkańcom tego miasta robi zarzut, że gonili nieustannie za materyalnemi interesami, to im jednak przyznać należy że w ostatnich mianowicie czasach u nich obudził się duc[h] inny, zamiłowanie do sztuk pięknych i nauk. Cała biblioteka (między innemi Hengstenberga), powędrowały dc [C]hicago i bogacze lubili zdobić swoje salony pięknemi o[bra]zami. Trzy wielkie dzienniki tam wychodziły, a wielki duch przedsiębiorczy objawił się w kosztownych publicznych u[r]ządzeniach i budowlach, jako n. p. w 1000 stóp długim tunelu Waschington dla pojazdów i pieszych, i w wodociągu dwie mile długim, a pod jeziorem zbudowanym, sprowa[dza]jącym do miasta wyborną wodę do picia. Bogactwo [m]ieszkańców objawiło się też w budowlach zbytkowych, a na 2 mile angielskie długa Wabash-Avenue, jako też po nad brzegiem jeziora położona Michigan-Avenue równały nie tylko najpiękniejszym ulicom Nowego Jorku, ale nawet najznakomitszym ulicom stolic europejskich.

Powstanie pożaru jest nową illustracyą przysłowia: „Z małéj iskierki bywa pożar wielki.“ Ósmego Października poszedł chłopak z lampą petroleową do stajni. Krowa lampę obaliła i paląca się struga razlała po drewnianéj podłodze. Prędko téż ogarnął płomień domy, a silny wiatr przyczynił się do rozwoju ognia. Obalono całe ulice w nadziei, że się ogniowi przetnie komunikacyą; lecz nada[r]emnie; praca ludzka była bezskuteczna. Dopiero ulewn[y] deszcz 10 Października, potrafił zgasić ogień, kiedy ju[ż] cała północna i znaczna część południowéj strony miast[a] leżały w gruzach. Kilka osób się spaliło, a strata materyalna dochodzi ogromnéj cyfry 300 milionów dolarów. W czasie pożaru zdarzyły się sceny przerażające. Strach wielu pozbawił umysłu, głodny i pozbawiony przytułku proletarjat straszył rozruchami, bo już w niektórych miejscach pojedyńcze indywidua zaczęły w zamięszaniu plondrować. Ich też na miejscu sądzono podług prawa Lynscha, a generał Sheriden, któremu oddano komendę, ogłosił stan wojenny.

Jak na wstępie powiedziano, szybki wzrost miasta, objaśnia szybki wzrost ognia i wielkość zniszczenia. Miasto jeszcze było w stadium przejścia architektury z drzewa do cegły i kamienia, nawet ulice jeszcze były brukowane drzewem, a trotuary były zrobione z bali. Dla ochronienia ich od wpływu wilgoci, umieszczono je dosyć wysoko nad ziemią, skutkiem czego pod niemi był znaczny prąd powietrza, który rozszerzanie ognia wspierać musiał. W licznych przypadkach też między gruntem a domem była przestrzeń napełniona towarami, bo w ostatnich czasach dla zbytku wilgoci podnoszono domy za pomocą pras hidraulicznych i zwyczaj ten bardzo się rozpowszechnił. Hotele, magazyny i fabryki tym sposobem zostały podniesione, nie przerywając w nich zwykłego zajęcia. To wszystko tłomaczyć może to zjawisko, że miasto leżące nad ogromném jeziorem i nad kilku ramionami rzek, w tak krótkim czasie m[o]gło się stać pastwą płomieni. Oprócz tego też środki r[a]tunku były bardzo zaniedbane i nieodpowiednie. Wielka o[r]burza roznosząca w nocy ogień, dostatecznie objaśnia dla czego miasto tak zupełnemu mogło uledz zniszczeniu. Szkoda jest nieobliczona, właśnie ta część miasta została zniszczona, w któréj największe zapasy towarów były nagromadz[one]. W gruzach leżą: sąd, izba handlowa, komora celna,

-era-Union telegraf, sześć największych hoteli, Crosbyego opera, Mac Vickeva teatr, Dearborna teatr, niemiecki teatr, Farewelle-halle, Aiken'a muzeum, magazyny, siedm kolei żelaznych, sześć kościołów i katolicki dom sierót.

Jakkolwiek wielkie zrządziła siła rozkiełznana natury spustoszenia, energia mieszkańców, która w tak krótkim czasie tak ogromnych rzeczy dokazała, każe się spodziewać, że i obecnie mieszkańcy rąk nie opuszczą, i z świeżą energią wezmą się do pracy. Miasto znów prędko wziesie się z gruzów, piękniejszem niżeli było, i handel i przemysł powetują zrządzone straty.

W całéj północnéj Ameryce pożar wzniecił współczucie dla nieszczęśliwego miasta, dla którego nawet w Europie znaczne zbierają się składki.

W Ameryce człowiek nie umie biadać i narzekać. Kiedy przed kilkunastu laty spaliło się St. Francisko w Kalifornii, śmiała jakaś ręka węglem napisała na pozostałym murze: „Nie upadaj młoda Kalifornio! twoją jest przyszłość!“ i miasto powstało w krótkim czasie z gruzów piękniejszém i większém niżeli ono było przed pożarem; stało się prawdziwą królową Spokojnego Oceanu.

Tam człowiek sam sobie pomaga, sam jest przyczyną swego nieszczęścia i twórcą swego szczęścia, śmiało rzuca się w przepaść ziemi, w zamęt oceanu, by zdobywać bogactwa i dla tego mu się wszędzie wiedzie, dla tego téż w przypadku nieszczęścia nikt nie narzeka i nie oczekuje zkądinąd pomocy.

Dla tego też Amerykanin spieszący na pomoc nieszczęśliwemu współobywatelowi, nie liczy starannie ileby mu wypadało ofiarować, a sypie hojną ręką. To już widzieliśmy przy ofiarach niesionych mieszkańcom Chicago. Rząd Springfieldski zwrócił miastu 3 miliony dollarów na publiczne budowle, kupcy Nowego Yorku wykreślili ze swych ksiąg zaległe sumy kupców Chicago, otwierając im nowe kredyta, a zewsząd przybywają krocie dollarów na odbudowanie miasta i wsparcie tych, którzy wszystko w płomieniach stracili.

My tylko przywykliśmy liczyć w całém naszém życiu na protekcyę innych, tak w polityce jak i w życiu prywatném; nas przyzwyczajono mało pracować a wiele żebrać pomocy, i dla tego téż każdą klęskę publiczną przypisujemy komuś innemu.

„Pomagaj sam sobie, a Bóg ci dopomoże“, powiada francuskie przysłowie, które Amerykanin praktycznie zastósowywał w swém życiu i dla tego mu się wiedzie wszędzie i zawsze, aż zazdrość bierze innych, oczekujących pomocy zkądinąd. W rachunku życia Amerykanina on sam jest jednostką, cała reszta świata zerem, powiększającém jego znaczenie w stosunku, w jakim go za sobą uporządkowywać umie.

Dziś Chicago leży w gruzach, a raczéj dziś już gruzy tego miasta się uprzątają; za rok śladu spustoszenia nie będzie na ulicach, a za lat kilka Chicago zapomni, że ono się kiedyś spaliło. Zaiste tam żadnego narodowego teatru nie postawią na akcyach, dla których przez cały rok z latarką Diogenesa podpisujących szukać trzeba, choć na to potrzeba nic nieznaczącego kapitału! Tam też nie potrzeba czułych odezw, by znaleźć współczucie dla dotkniętych ogólną klęską; współczucie tam same znajdzie nieszczęśliwych, i pełną garścią czerpie z worka złoto, by się objawić w czynie.

Oby nas przykłady amerykańskie nauczyły liczyć na siebie tylko, na swoją siłę! Oby nas nauczyły być jednościami w rachunku życia, dopomagać samym sobie, być czemś przez siebie tylko, a w takim razie nie będziemy potrzebowali z założonemi rękami oczekiwać pomocy od nikogo, tak w życiu prywatném jak i publiczném.

* * * *

DWA WSPOMNIENIA ZE SYBERYI.

(Ciąg dalszy.)

Ale gdy moskiewski czynownik, jeszcze do tego Isprawnik, zapragnął czego, to niepodobieństwem, żeby nie osięgnął celu.

Fjedor Pawłowicz jednemu z towarzyszących mu kozaków pokazał tę sztukę i, domyślne dziecko Donu, wiedziało co to znaczy, zwłaszcza, że gest Isprawnika był kommentowany słowem: „pjatytka“, co znaczy: pięć rubli! Jak dostać te pięć rubli, to już jest rzeczą zmyślnego Wańki.

Po obejrzeniu wszystkiego co było do obejrzenia, po zabraniu tego, co się przy świadkach dało zabierać, Fjedor Pawłowicz pożegnał się z Lamą i podwładnemi jemu sługami Buddy i wrócił do Urgi. Właściwie mógł on tego samego dnia wyjechać z Urgi i puścić się w drogę do domu; lecz uznał, że jeszcze niektóre małe interesiki są do załatwienia, że to i owo jeszcze trzeba widzieć, że trzeba zapakować rzeczy a to wszystko wymagało nieco czasu. Głównie dla tego Fjedor Pawłowicz zatrzymał się jeszcze w Urdze, że Wańka kozak potrzebował nieco czasu, by wszystkie swoje rzeczy ułożyć i zarobić obiecaną pjatytka.

Nie wiadomo z matematyczną dokładnością ile dni upłynęło aż do ukończenia wszystkich a wszystkich sprawunków Fjedora Pawłowicza. Wiadomo jednak, że pewnego pięknego dnia zrobił się ogromny rozruch w Urdze, Lama ze swemi pomocnikami i naczelnikami osady zrobił rewizyę we wszystkich jurtach i jego podejrzliwość posunęła się do tego stopnia, że nawet nie szczędził jurt najwyższych miejscowych urzędników. Nadaremnie! Nic a nic nie znalazł u mongołów czystéj krwi, a u mongołów-mięszańców, mieszkających chwilowo w poselskiéj jurcie, pod flagą rosyjskiego rządu, nie wolno robić rewizyi. To się sprzeciwia międzynarodowemu prawu, bo Grocyusz i Wattel przypuścili, że wszyscy posłowie są poczciwi.

Kiedy już rewizyę skończyli w Urdze, u mieszkańców naturalnie, Lama kazał zameldować swoją wizytę Fjedorowi Pawłowiczowi i zaraz został przyjęty.

Rysy twarzy starego kapłana zdradzały, że się coś nadzwyczajnego zdarzyło. Fjedor Pawłowicz pytał się z współ-

czuciem, co się stało, że tak się zmartwił, czy go jakie nieszczęście spotkało, i czyby on mu nie mógł być w czém pomocny?

Lama odpowiedział, że najgorsze się zdarzyło, co tylko zdarzyć się mogło; że to wielki cud, iż dotąd Budda nie rozbił całéj ziemi na miałki proszek, na atomy, a przynajmniéj, że dotąd jego samego, niegodnego Buddy sługi, nie zdmuchnął z tego świata, za to, że za mało miał troskliwości w służbie jego, że nie leżał dzień i noc przed jego ołtarzem i nie pilnował świętego puharu.

Koniec końców — puhar znikł, zginął bez śladu, widocznie był skradziony! Nikt nie wie, kto się tego świętokradztwa dopuścił. Ta zbrodnia była przyczyną ogólnéj w całéj osadzie urgskiéj rewizyi.

Fjedor Pawłowicz domyślił się o co chodzi. Zaledwie potrafił ukryć swą radość, ale oraz swoją obawę. Przyzwoitość bowiem wymagała, aby sam prosił o rewizyę swego mieszkania; bojaźń znów kazała mu się mieć na ostrożności. Lecz prędko się namyślił; prosił, aby i u niego rewidowano wszystko. Było to czyste obliczenie. Jemu bowiem jak wszystkim, było wiadomo, że mieszkanie jego jest nadzwyczajnie ściśle szpiegowane; rząd chiński, mądrzejszy od europejskich, rosyjskiemu nie dowierza, a jego agentów na każdym kroku szpieguje. Szpiegowanie to odbywa się pod pozorem grzeczności, usłużliwości, a ci którzy do téj czynności są przeznaczeni, bardzo zgrabnie każdego czasu umieją się wśliznąć do wszystkich zakątków poselskiego mieszkania.

„Kiedy szpiegi nic nie wiedzą“, tak sobie pomyślał Fjedor Pawłowicz, „to albo nie Wańko ukradł ślimaka, albo też tak zgrabnie to zrobił, że mogę być pewnym, iż go nie znajdą ni u mnie, ni też u niego.“ To go spowodowało, że sam prosił o dokonanie rewizyi.

Twarz Lamy rozjaśniła się, jakoby wielki ciężar spadł z jego serca. Pospiesznie przystąpił do rewizyi, w obawie by Isprawnik nie cofnął swego pozwolenia. Wszystkie rzeczy tak Fjedora Pawłowicza, jako i jego świty były starannie przetrząśnięte; Wańka ze swemi manatkami nawet pierwszy cisnął się do rewizyi, tak że samego Isprawnika wprowadził w błąd co do swéj poczciwości lub zręczności.

Rewizya skończyła się szczęśliwie; szukanego przedmiotu nie znaleziono. Mistrz Wańka artystycznie „schował końce“, jak mówi rosyjskie przysłowie i chce rosyjskie prawo.

Zmartwiony Lama przeprosił Isprawnika, pożegnał się z nim i oddalił się. Fjedor Pawłowicz spojrzał na Wańkę, którego tryumfująca mina przekonała go, że pjatytkę zarobił. Nie mówiąc słowa, Fjedor Pawłowicz oddał mu pięć rubli.

Zaraz po rewizyi zażądał Fjedor Pawłowicz od miejscowéj władzy podwójnego konwoju, bo to zawsze na złodzieju czapka gore, i natychmiast opuścił Urgę.

W Kjachcie, na swoim gruncie, odebrał puhar Buddy, którego złota podstawa sama była sto razy więcéj warta, niżeli Wańka dostał. Isprawnicy nie drogo kupują skradzione przez podwładnych rzeczy.

Za część starożytności podarowanych mu, Fjedor Pawłowicz dostał od petersburskiego muzeum starożytności dwa tysiące rubli. Za cudnie pięknego i kosztownie oprawnego ślimaka ofiarowano mu sześć tysięcy, których nie przyjął. Jemu zdaje się, że 5995 rubli za małym są procentem za wyłożony kapitał.

Tak sprawują Isprawnicy swoje interesa. O sprawkach innych Fjedora Pawłowicza nie warto już mówić; są one zwyczajne w całéj Rosyi i często opisane. One zresztą znikają w jego szkatułce, i nikt ich nie widzi, kiedy puhar Buddy, łuki, strzały, kolczany i piki jakby trofea jakie, zdobią jego komnaty. Widział je własnemi oczami mój przyjaciel i dowiedziawszy się z pewnego źródła o ich pochodzeniu, zanotował sobie powyższe szczegóły dla pamięci, i dla uczczenia pamięci zacnego irkutskiego Isprawnika Fjedora Pawłowicza Pawliszczewa.

II.

Zabierzmy się do drugiéj notatki z zapasu mego syberyjskiego przyjaciela. Dotyczy się ona ważnéj we wołości osoby Zasjedatela, czyli asesora albo też w niektórych okolicach Stanowego, Dmitra Stjepanowicza Stepanowa w Telmińskiéj fabryce, Radajskiéj wołości, irkutskiego okręgu i gubernii, podwładnego naszego znajomego Fjedora Pawłowicza Pawliszczewa.

Zapewne Czytelnicy od razu powiedzą: „Jaki pan, taki kram“, i nie powiem żeby się zbyt wiele od prawdy oddalili. Jednakowoż nie mogę utrzymywać, żeby zupełnie odgadli. Równość, jek we wszystkich utworach natury, przebija się tylko w rodzajowych znamionach; indywidua mają zawsze swą osobną cechę charakterystyczną. Tak mają się rzeczy i z utworami, których charakterystykę skreślił mój przyjaciel w swych notatkach, a ja postaram się uwydatnić tę indywidualną charakterystyczną cechę.

Widzieliśmy, że Fjedor Pawłowicz ukończył uniwersytet, że podróżował po cywilizowanym świecie i że, choć wilczéj swéj natury nie zmienił wcale, to wszakże umiał sierść swoją tak trefić, że z daleka wyglądał jak krymski baranek. Historya nam w prawdzie nie zachowała wskazówki co do drogi, jaką w młodym jeszcze wieku doszedł do wysokiéj posady Isprawnika, ale na jego honor możemy lub chcemy przypuszczać to, że ją uzyskał dla tego, że się poświęcił dla służby kraju, idąc na „chlebne miesto“ do Syberyi.

Inaczéj rzeczy się mają z zasjedatelem Dmitrym Stjepanowiczem Stepanowem.

On chełpi się, że jest urodzonym syberyakiem, że zaledwie dwie klasy skończył i że — własnemi zasługami w młodym także wieku doszedł do „czynu“ i do „chlebnego miejsta“, do urzędu, do którego potrzeba właściwie dużo znajomości prawa.

Ależ pamiętać należy, że Dmitry Stjepanowicz służył pod moskiewskim rządem i że do posad, do których u innych narodów potrzeba wiele nauk, tam w moskiewskim zupełnie od innego odrębnym świecie wystarczają — osobiste zasługi, „usierdzie“ (t. j. gorliwość). Młody Dmitry wstąpił jako pisarek do jakiegoś zasjedatela, jemu usługiwał, dogadzał, donosił o wszystkiem, co się działo w obrębie jego władzy, tak że zawsze był au courant du fait,

i wiedział z kogo skórę ściągnąć lub strzydz tylko, bo wiadomo, że kommunistycznie urządzona rosyjska gmina jest wielkiem stadem baranów, z których wełna i mięso należą do wilków, postanowionych przez miłościwego cara na owczarzy.

Zasjedatel za takie zasługi rekomendował swego pisarka przy którym już sam się mógł nieco obłowić, bo to zwykle tak wysoka figura puszcza mniéj ważne interesa nowym pisarkom by im dać sposobność do nabywania wprawy. Takim sposobem wychodzi nic nie umiejący ze szkoły chłopak na „djełowawo czełowieka“, t. j. na urzędnika swój fach znającego.

Jak poprzednio go forytował czyli protegował zasjedatel, tak go następnie protegował Isprawnik i za „usjerdja“ w służbie jego wyrobił mu — posadę zasjedatela badajskiéj wołości, na któréj spodziewał się dojść do isprawnikostwa, pobyć na niem lat pięć, sześć w dobrym okręgu, a potém wziąwszy dymisyą, żyć sobie w mieście z emerytury i procentów.

Dmitry Stjepanowicz był rzeczywiście „djełowym czełowiekom.“ Naczczo począł się upijać zwyczajną wódką, a wieczorem położył się spać pijany. Jak sam nieraz powiedział, nie miał zwyczaju na nowo upić się, a tylko dolewać. Jednak trzeba mu oddać sprawiedliwość, choć był pijany, że się na nogach trzymać nie mógł, gdy kto zawołał: „Isprawnik jedzie“ — zaraz był trzeźwy, jakby kieliszka nie był widział.

Nie będę tu wypisywał wszystkich szczegółów, które znajdują się o tym ważnym dla wygnańców naszych w badajskiéj wołości człowieku; jedno szczególne zdarzenie scharakteryzuje go zupełnie.

(Dokończ. nast.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Z życia zwierząt.

Człowiek uważa się w swéj nieograniczonéj dumie za pana ziemi, za najszlachetniejszy utwór, za koronę przyrody. Nie ma szczytnych epitetów, którychby do siebie nie zastósował, porównywając siebie z resztą żywego świata.

Wszakże ta nasza duma nie powinna dochodzić do tego stopnia, żeby pogardzać wszystkiemi objawami życia zwierząt, a to nie tylko życia fizycznego, wspólnego zwierzętom i ludziom, ale nadto życia psychicznego, życia duszy.

Współczucie zapewne każdy liczy za przymiot duszy, boć to każdy, czy mały czy wielki, uczony lub prostaczek twierdzi, że ono wypływa ze serca. Wszakże gdy człowiekiem litość, żal lub podobne uczucie ogarnie, czuje że się coś w piersiach jego dzieje, coś z nich wyrywa, kiedy przeciwnie przy badaniach, rachubach i t. p. wyraźnie czujemy, że się jakaś praca w głowie, w mózgu naszym odbywa.

Poruszenia zaś serca, czyny dokonane przez uczucie liczymy zawsze do szlachetnych, dokonane przez rozum, będący atrybucyą mózgu, uważamy za mądre.

Niechaj mi wolno będzie w tym pierwszym wstępie mojéj pracy przedstawić Czytelnikom obrazki z życia zwierząt, które dopuszczają porównania z szlachetnemi ludzi czynami. Nie będę się tu bawił w opowiadanie anegdot z życia zwierząt, lub jednorazowych spostrzeżeń; ale zamierzam przedstawić długie obserwacye, wykonane z sumiennością i całą ścisłością nauki, bo takie tylko obserwacye mogą mieć wartość tam, gdzie pragniemy pouczać a nie zabawiać tylko. Łudzenie siebie i drugich bowiem nie mniéj szkodzi, jak gra fantazyi i ani jedno ani drugie w rezultacie nie dają tego, czego dziś już każdy pragnie — prawdy.

W następném opierając się na badaniach mężów nauki, przedstawić zamierzam tę prawdę, że i zwierzęta nie fizycznie tylko, ale i psychicznie czują.

Nie myślę tu kreślić obrazu miłości matki dla swoich młodych. Takie objawy są powszechnie znane, nawet do tego stopnia, że rzadko kto na nie zwraca uwagę. Zresztą też takie objawy rozmaicie tłómaczyć się mogą, jako instynkt zachowawczy naprzykład, lub w inny jeszcze mniéj zrozumiały i mniéj też rozumny sposób. Żeby pokazać, że i serce zwierząt jest przystępne uczuciu, trzeba brać inny przedmiot, gdzie nie wchodzą w grę podobne uczucia.

Wiadomo, że kapłonów często przymuszają, a raczéj obuczają prowadzić pisklęta, z któremi ich nie łączy ni miłość matki, ani też pokrewieństwo. Lecz nie tylko do prowadzania piskląt, ale nawet do wysiadywania jaj, przyuczają biednego. Ciekawy to jest proces.

Wiążą mu na noc nogi i kładą na boku, a pisklęta wsuwają się jemu pod skrzydła, pod brzuch by się ogrzać w jego puchu, jak w puchu matki. Z początku to wszystko dziwném mu się wydaje; upiera się biedny jak może, czując zapewne, że wypielęgnowanie piskląt nie jest jego zadaniem i przeznaczeniem. Ale cóż robić; przez noc drobne sierotki ogrzał przeciwko swojéj woli pod swemi skrzydłami, a rano już je wabi do jedzenia, stara się prowadzić na spacer, troszczy się o ich całość, i gdy wysoko w powietrzu krąży jastrząb, zwołuje je w bezpieczne miejsce. Zdaje się z tego, że pojmuje lub czuje ważność powierzonego mu zadania i pełni je częstokroć z większą gorliwością, niżeli niejedna kura, która pisklęta wylęgła, a zatém niejako jest ich matką. Raz przyzwyczajony, coraz więcéj na wszystkie powierzone mu sieroty rozciąga on swą troskliwą opiekę. Caly dzień szuka dla swych przybranych dzieci robactwa lub innego żeru, do którego ich zwołuje, przypatrując się nieraz jakby z dumą i zadowolnieniem apetytowi małych żarłoczków. Widocznie zaś stara się on o to, aby zawsze najsłabsze sztuki blisko niego były, jakoby wiedział, że one najbardziéj potrzebują jego opieki.

To co tu mówiłem o kapłonach jest faktem mniéj więcéj znanym naszym gospodyniom. Śledząc daléj ten proces

przeświadczamy się o tém, że kapłon pełni swe obowiązki z pewném rodzajem świadomości.

W pewném gospodarstwie szara i czarna kura wkrótce po wylęgnieniu kurcząt straciła przez przypadek życie. Jeden kapłon już prowadził stadko dosyć znaczne, a że to jeszcze do tego składało się ze starszych już indywiduów, niechciano narażać na krzywdę młodsze, niedawno wylęgłe pisklęta. Wybrano zatem innego potężnego kapłona, który jednakże nigdy jeszcze nie ojcował. Z początku bardzo się opierał przeciwko przyjęciu niezwykłego obowiązku; wreszcie jednak poddał się losowi i zaczął silnym głosem przywabiać oddane jego opiece sieroty. Nie poprawny z początku, pokazał się on niezgrabnym, złamał nawet małemu nóżkę, lub tu owdzie które przewrócił, ale to wszystko stało się raczéj ze zbytniéj gorliwości w spełnianiu niezwykłego obowiązku, niżeli ze złéj woli. Jedném słowem, był szczerym, choć niezgrabnym jeszcze opiekunem.

Kiedy się zupełnie przyzwyczaił do powierzonych jego opiece małoletnich sierót, dodano mu pewnego wieczora jeszcze kilka sztuk nowych piskląt. Ale można sobie wyobrazić zdumienie gospodyni, gdy rano spostrzegła, że wszystkie dodane wieczorem pisklęta były uduszone. Z początku sądzono, że to skutki wielkiéj niezgrabności opiekuna, choć zaraz uderzało, że tylko białe, wczoraj jemu powierzone pisklęta smutnemu losowi uległy. W kilka dni po tém zdarzeniu znowu mu dodano kilka nowych piskląt, z których jedne były jasne, a drugie ciemne. Ostatnie chętnie przyjął do grona pierwotnie jemu oddanych, kiedy na pierwsze uderzył i byłby je znów wszystkie zamordował, gdyby mu nie przeszkadzano. Trzeba je było odebrać i innemu oddać pod opiekę.

Ten przykład zapewne jasno dowodzi, że ptak, o którym mówiłem, z zupełnem przeświadczeniem oddawał się wypielęgnowaniu powierzonych mu pierwotnie piskląt, które ponieważ były czarne jak on, uważał za swoje, kiedy tymczasem jasnopiórowych uważał za cudze, dla których niechciał przyjąć żadnych obowiązków.

Ten przypadek dał sposobność do innéj obserwacyi. Jedno z piskląt odepchniętych przez owego czarnego kapłona, zesłabło tak, że je było trzeba ogrzewać w kuchni. Ledwie jednak posadzono je na podłogę, kiedy przybiegło inne znacznie już starsze kurczę, które się jednak już od kury-matki odłączyło i wzięło owe pod swoje skrzydła Odtąd nie przestawało się ono opiekować mniejszém pisklęciem, chociaż samo jeszcze potrzebowało opieki i pieczołowitości, a dobrowolnie przyjęty obowiązek wypełniło ono z widocznem zamiłowaniem i przez długi czas, kiedy już przybrane dziecko tak wyrosło, że się pod skrzydłami kurki nie mogło pomieścić, jeszcze się z wielkiem przywiązaniem niem zajmowało. (Dokończ. nast.)

Szarada.

W prost pierwsze i wspak drugie są to znane głoski,
Trzecia bywa przyczyną ciężkich strat i troski,
To co jest czwarte pierwsze winno nie być brudne,
Wszystkie głoszą nowiny, ale nieraz złudne.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 45: ***Galopada.***)

Korespondencye Redakcyi.

Pani T. Z. Skalmierzyce: Odebraliśmy i serdecznie dziękujemy. Niemając całości niemożemy nic stanowczego powiedzieć. — Panu L. S. w Poznaniu: O szarady upraszamy. — Panu A. K. w Kościanie: Obiecanę pracę o wyprawie do bieguna północnego upraszamy. W tych dniach będzie nam ona potrzebną.

Od Redakcyi.

Wypadek niepozwolił nam równocześnie z portretem Ministra dla Galicyi Grocholskiego, umieścić jego życiorysu. — W jednym z najbliższych numerów brak ten wypełnimy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).